

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów
przez M. Walter

B. Felicyan tłumaczył z angielskiego

(Ciąg dalszy).

Joanna wróciła z doniesieniem, że panny Lynn nie ma nigdzie w zakładzie. Stuart, nie oglądając się na doktora, rozkazując zwrócił się do Joanny.

— Proszę mnie natychmiast zaprowadzić do pokoju panny Lynn.

Tyle było siły w tym rozkazie, że Joanna, nie czekając, co kto na to powie, wybiegła a za nią pospieszył Stuart.

Rozejrzał się dokładnie we wskazanym sobie pokoju.

— Proszę dobrze się przypatrzeć, czy nie brakuje tu któregoś z ubrań panny Lynn.

— Niema kapelusza i płaszcza — odpowiedziała Joanna — a były na wieszadle.

Dr. Burton, który chwilowo osłupiał ze zdumienia, zjawił się także w pokoju swej pacjentki a oddalwszy Joannę, zapytał gniewnie:

— Co to wszystko ma znaczyć? Żądam wyjaśnienia. Czy dr. Austin pana tu przysłał? Czego policja szuka u panny Lynn?

— Dr. Austin nie przysłał mnie wcale — rzekł Stuart poważnie. — Ten zacny człowiek nawet nie przeczuwa zapewne, jakie podejrzenia ciąży na jego pupilce. Zdaje mi się, że pańska pacjentka uciekła. Czy ona nie była pod dozorem?

— Nie było potrzeby. Mówiłem już, że jest zupełnie zdrową na umyśle, a jedynie rozdrażnienie nerwowe jej dokuczało. Tacy chorzy nie zostają pod dozorem i mogą swobodnie chodzić po zakładzie, a nawet wychodzić z niego.

— A więc uciekła! — zawołał Stuart. — Przepaszam, że pana niepokoiłem. Do widzenia, panie doktorze.

To rzekłszy, oddalił się Stuart z zakładu szybko i wypadł na ulicę. Stał bezradny, zły, złośliwy.

— I znowu zniknęła! — myślał z goryczą — a już byłem tak blisko celu!

* * *

Leonora opuściwszy zakład, wsiadła do pierwszej napotkanej karetki i kazała się obwozić, jak osoba chcaca użyć ruchu, a nie mogaca wiele chodzić. Myślała, co teraz robić? Wyjechać z Chicago nie podobna, bo niezawodnie na wszystkich dworcach czatuje na nią policja. Znajomych nie ma, prócz Kate Scaton, więc niema się u kogo schronić. Mimowoli rzuciła okiem na książkę in-serata, zawieszoną w karetkce. Machinalnie zaczęła ją przeglądać.

Wpadł jej w oczy anons jakiejś byłej śpiewaczki operowej, która udziela lekcji śpiewu i spsobu młode panny do sceny.

To jej się uśmiechnęło.

Pomyślała sobie, że jej w takim zakładzie nikt nie będzie szukał. Tam postanowiła się schronić — tam kazała fiakrowi się zawieść.

Karetkka zatrzymała się w ubocznej uliczce, przed domem skromnym, przylegającym do ogrodu. Nad drzwiami był napis: „Szkoła śpiewu panny Harris“.

Leonora zadzwoniła, we drzwiach ukazała się kobieta około lat pięćdziesięciu.

Znać było jeszcze, że kiedyś była piękna. Dziś miła, sympatyczna, uprzejma.

— Czy mogłabym się widzieć z panną Harris? — zapytała Leonora.

— Proszę, ja jestem.

— Przybywam tu wskutek anonsu pani.

— A, proszę pani, bardzo mi przyjemnie.

Zaprowadziła Leonorę do saloniku, mającego wszystkie cechy aktorskiego nieładu i aktorskiej fantazyi. Dużo szychu, dużo świecideł, mało smaku i powagi.

— A więc czytałaś pani mój anons? Czy pani chce do sceny się sposobić?

— Tak pani. Chciałabym zostać śpiewaczką, oczywiście, jeżeli pani uzna, że posiadam głos i zdolności zarówno muzyczne jak i sceniczne.

— To można prędko ocenić — rzekła panna Harris uprzejmie.

Widząc dziewczynę piękną, o postawie prawdziwie uroczej, inteligentną, skromną, dobrze wychowaną, co od pierwszego rzutu oka poznała, ucieszyła się stara śpiewaczka takim nabytkiem.

Obliczyła odrazu, jakie korzyści mieć będzie z takiej kandydatki do sceny. Niezwykła jakaś kandydatka! Więc z największą słodyczą rozmawiała z Leonorą:

— Czy mogę prosić o podanie mi nazwiska?

— Jestem Lena Voss.

— Czy pani życzy sobie zaraz rozpocząć naukę?

— Tak, skoro tylko znajdę jakie umieszczenie. Jestem tu zupełnie obca, więc nawet nie wiem, przy kim zamieszkać bym mogła. Obawiam się trafić nie na swoje towarzystwo. Sierota, bez przyjaciół i znajomych, potrzebowałabym też życzliwej rady i opieki. Posiadam wprawdzie dostateczne zupełnie fundusze, może nawet więcej niż mi potrzeba, ale przyjaciół za pieniądze nabyć nie można...

Mówiła to szczerze, bo stara śpiewaczka wydała jej się bardzo sympatyczną i uczuła do niej jakiś serdeczny pociąg.

— Jeżeli tylko pani pozwoli, to najchętniej usłużę ci radą i opieką.

— Przedewszystkiem muszę powiedzieć, kim jestem. Sierota, posiadam dość znaczny majątek, od którego pobieram regularnie procenta. Po śmierci rodziców wyznaczono mi opiekuna. Człowiek to zły, dokuczliwy. Uparł się, aby mnie wydać za swego syna, który mi był wstrętny. Opiekun czyhał na mój majątek i chciał nim siebie i syna swego wzbogacić. Gdy stanowczo odmówiłam, tak mi dokuczał, tak po prostaku ze mną się obchodził, że musiałam uciec i ukryć się w Chicago.

— Dobrze pani uczyniłaś.

— Otóż opiekun będzie mnie pewno szukał, ściagał. Chciałabym ukryć się przed nim, aby uniknąć prześladowania. Byłabym wdzięczną, gdyby mi pani takie schronienie wskazała.

— U siebie umieścić pani nie mogę, bo nie mam miejsca, ale mam przyjaciółkę w sąsiedztwie, która pani odstąpi wygodny pokój. Tam możesz być zupełnie spokojną i bezpieczną, tam pani nikt szukać nie będzie.

XV.

Na wsi i w mieście.

Dr. Austin siedział przy śniadaniu, popijał herbatę i myślał, kiedy też jego ulubieniec wróci. Przywiązał się do swego imiennika, lubił z nim gawędzić; brakowało mu więc teraz jego towarzystwa.

Przyniesiono mu z poczty dwa listy. Według swego zwyczaju obejrzał kowertę dokładnie, zanim ją rozdarł. Na adresie poznał pismo swego przyjaciela, dra Burtona.

Myślał, że to zwykła relacja o pupilce, więc bez pośpiechu rozdzierał kowertę.

Jakież było jego zdumienie i przerażenie, gdy przeczytał list następujący:

Kochany Przyjacielu!

Oczekuję Cię niecierpliwie. Panna Lynn opuściła mój dom potajemnie, niespodzianie. Zjawił się tu u mnie jakiś młody człowiek, nazwiskiem Jan Jakób Austin i oświadczył, że się chce widzieć z panną Lynn z Twego polecenia. Posłałem po nią, ale zamiast przyjść do poczekalni, nagle zniknęła. Ow młody człowiek powiedział mi wtedy, że jest agentem policyi, a przybył tu dlatego, że panna Lynn jest posadzoną o popełnienie zbrodni, poczem wypadł jak szalony, zapewne w pogon za zbiegłą. Sądze, że jej nie znalazł. Przybywaj!

Twój dr. Burton.

Dr. Austin nie mógł się długą chwilę opamiętać; list przyjaciela wydał mu się prawdziwie bajecznym.

Ucknąwszy się wreszcie, jakby ze sennego marzenia, wziął w rękę list drugi.

Poznał pismo swego imiennika, więc rozdarł kowertę niecierpliwie, spodziewając się tu jakieś wyjaśnienia:

Czcigodny Panie!

Domyslałem się, że dr. Burton doniesie Panu o mojej wizycie w jego zakładzie, więc poczytuję sobie za obowiązek dodać małe wyjaśnienie. Musiałem być blisko Pana i dlatego udawałem imiennika. Uczyniłem to dlatego, że najżyczliwiej jestem usposobiony dla Pańskiej pupilki. Proszę w imię dobrej tej osoby, abyś Pan zachował wszystko w tajemnicy, a wystrzegaj się pana Bradmardina, który czyha na życie sieroty. Nie wątpię, że mi Pan wybaczy mistyfikację, gdy się sprawa ostatecznie

wyjaśni. Jestem agentem policyjnym, zawsze pełnym czci dla Pana.

Fałszywy Austin.

Uspokoił się nieco tym drugim listem, ale natychmiast zabrał się do wyjazdu. Trzeba było sobie zamówić miejsce w omnibusie, który dowoził podróżnych do najbliższej stacji kolejowej. Nie czekając służby, biegnie sam, gdy tuż koło domu spotyka człowieka, niosącego pudło na plecach.

— A dobrze, że was spotykam kochany panie Peterkin. Idziecie pewnie do domu, co?

— Tak, panie doktorze, do usług.

— No, to mi oszczędzisz drogi, dobrze?

— Co pan doktor rozkaże?

— Zechciej mi kochany panie Peterkin zamówić miejsce w omnibusie, do pierwszego pociągu do Chicago.

— Z największą ochotą, proszę pana do ktora.

— Dziękuję, bardzo dziękuję.

Doktor wrócił do domu a Peterkin spiesźnie zdążył ku zajazdowi, którego właściciel był też właścicielem omnibusu.

Ciekawy to człowiek ów Peterkin. Zjawił się tu przed miesiącem, jako domokrażca. Wszędzie było go pełno, wszędzie zawierał znajomości, wszystkim się wysługiwał i usługiwał. Zyskał też sobie sympatye wielką i zaczął się stawiać powiernikiem wszystkim.

Gdy wszedł do gospody, spostrzegł za stołem Jasona Bradmardine, ale udał, że go nie widzi i głośno z progu zawołał:

— Hej, panie Marks, kiedy omnibus odchodzi?

— Za pół godziny — odpowiedział właściciel gospody i omnibusu.

— Dr. Austin prosi, aby zatrzymać dla niego miejsce.

Powiedziawszy to, wybiegł prędko do swego mieszkania i co tchu zbierał się zaczął do podróży. Z małym tobołkiem wrócił do gospody i dla siebie jeszcze zamówił miejsce. W omnibusie zdążyli do stacji dr. Austin, Peterkin, a także i Jason Bradmardine.

Nie bardzo było przyjemnie doktorowi w towarzystwie Jasona, mimo tego zagadnął go od niechcenia:

— Czy pan już zupełnie opuszcza Fairlic?

— O nie — odpowiedział Jason obojętnie. — Ot tak, na kilka dni, mała przejażdżka do miasta. A pan doktor na długo do Chicago?

— O nie, tylko dla konferencyi lekarskiej, a przytem chcę słyszeć wykład sławnego uczonego dra Dardy. Możeby pan także chciał być na wykładzie?

— Prawdę powiedziawszy, to mnie te rzeczy mało obchodzą.

— Szkoda, żałuję bardzo. Towarzystwo pańskie bardzoby mnie cieszyło.

Pocziwy doktor nie był w tej chwili szczerym, bo towarzystwo Bradmardina było dlań wstrętne, ale chciał się jakoś wywiedzieć, po co ten podejrzany człowiek jedzie z nim równocześnie do miasta.

Oczywiście, że podejrzewał go o to, iż zamierza coś niedobrego względem Leonory.

Nie kleiła się rozmowa, więc doktor zaczął czytać dzienniki, toż samo uczynił i Jason. Dojechali do Chicago; wychodzą z dworca. Dr. Austin siadł do fiakra i kazał jechać prędko. Jason wziął drugiego fiakra i kazał mu jechać za pierwszym. Do trzeciego siadł Peterkin i za tamtymi jechać kazał.

Trzeci fiaker przyświadczył z ochotą, że tamtych ani spuści z oka. Był to przebrany Jocellyn, a wiózł sławnego agenta angielskiego, Franciszka Ferrasa, czyli domokrażcę w Fairlic: Peterkina.

Stuart zawiadomił Jocellyna o wszystkim, co się stało w zakładzie dra Burtona i zwrócił mu uwagę, że dr. Austin pewnie przyjedzie do Chicago, a za nim podąży też niezawodnie i Bradmardine, aby odkryć schronienie Leonory. I oto Jocellyn został improwizowanym fiakrem, by czuwać na dworcu i albo narzucić się wyczekiwany podróżnym, albo też za nimi jechać.

Skoro Bradmardine zobaczył, że dr. Austin zatrzymał się przed zakładem dra Burtona, kazał zawrócić i zawieść się do swego mieszkania. Peterkin zdążył za nim niespostrzeżenie i w sąsiedztwie Jasona najął sobie pokój.

* * *